

JAROSŁAW ABRAMOW-NEWERLY

GRANICA SOKOŁA




AXIS MUNDI
WYDAWNICTWO

JAROSŁAW ABRAMOW-NEWERLY

GRANICA SOKOŁA



Copyright © by Jarosław Abramow-Newerly, 2003

Copyright for this edition © 2026 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Antonina Liedtke

REDAKCJA: Dominika Kamyszek – OpiekunkaSlova.pl

KOREKTA: Dominika Surma

KOREKTA TECHNICZNA: Antonina Liedtke

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

ZDJĘCIA NA OKŁADCE: © Eugene_Photo / stock.adobe.com, AI / stock.adobe.com

WYDANIE I AXIS MUNDI

ISBN PRINT: 978-83-8412-751-3

ISBN EBOOK: 978-83-8412-752-0

ISBN ABONAMENT: 978-83-8412-753-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



Plik przygotował Woblink

woblink

woblink.com

WSTĘP

W *Nawiąło nam burzę* wspomniałem, że kresowe nazwy zawsze mnie pociągały. Buczacz, Wołkowysk, Sircze...

Mojej fikcyjnej postaci – legioniście Grzegorzowi ze sztuki *Klik-klak* – kazałem stacjonować z pułkiem w Wołkowysku.

Przeładam przedwojenny przewodnik po województwie tarnopolskim, a w nim zdjęcia słynnych zamków obronnych dawnej Rzeczypospolitej: Kamieńca Podolskiego, Chocimia, Okopów Świętej Trójcy... W tym ostatnim, dziś w ruinie, rozgrywała się akcja *Nie-Boskiej komedii* Zygmunta Krasińskiego. Głębokie korzenie. Sięgają po czasy rzymskie i wcześniej. Sprawdzam na mapie, gdzie biegnie odkryty jeszcze za austriackich czasów Wał Trajana. Właśnie w tym rejonie. Wyławiam z przewodnika ciekawostki. Przedwojenne ceny dorożek, obiadów w restauracjach, pokoi hotelowych i łóżek w stanicach turystycznych. Działało wtedy prężnie Podolskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, zachęcając do zwiedzania nowych szlaków. Można było sobie wędrować. Nie tylko palcem po mapie – jak ja dziś...

Widok Zaleszczyk i Kołomyi nie wywołał żywszych wzruszeń – choć ponoć tam spędzałem moje pierwsze wakacje. Przewodnik zapewnia, że przebijający się malowniczymi zakolami przez ściany Wyżyny Podolskiej Dniestr w niczym nie ustępuje w swej krasie Przełomowi Dunajca. Ojciec też mówił, że ta rzeka dostarcza wiosłu i oku wielu wrażeń swym bystrym prądem, gdy się płynie między

porohami. Niestety, nie mogę tego potwierdzić. Nic nie pamiętam – choć podobno kąpałem się w Dniestrze. O tym, że byłem w Zaleszczykach, świadczył tylko gliniany Hucuł w ludowym stroju – baraniej czapce i łykowych łapciach – z dwiema baryłkami bryndzy u stóp. Często macałem ten ser, sprawdzając, czy aby na pewno jest z gliny. Wyglądał na prawdziwy. Bardzo lubiłem tego barwnego Hucula. Stał długo w naszym domu, dopóki nie zaginął w Powstaniu Warszawskim...

Wychodzę na spacer z Websterem, moim psem beagle'em. Jest to mały ogar (sfory podobnych często ganiają na obrazach przedstawiających sceny myśliwskie) o niezwykłym wprost węchu. Spod najgrubszej warstwy śniegu wygrzebie kawałek zmarzniętej pizzy czy hamburgera. Zazdroszczę mu tego nosa.

W wieżowcu Bay-Charles Towers, gdzie mieszkam, Webster cieszy się wielką popularnością. Głównie ze względu na swe imię. Gdy go przywieźliśmy od hodowcy spod Barrie i szukaliśmy dla niego imienia, rzucił się od razu na słownik mojej córki *Marysi Webster's Dictionary* i z pasją zaczął go gryźć. Córka krzyknęła:

– Webster! Sam sobie wybrał! – I został Websterem.

Kanadyjczycy, słysząc to imię, wybuchają śmiechem. To tak, jakby ktoś w Polsce nazwał psa „Czytelnik” czy „Ossolineum”.

Idę więc za Websterem. Mija nas właśnie sąsiadka Rosjanka, która w windzie przyznała się kiedyś żonie, że jest z Baranowicz i ma matkę Polkę. Ze mną twardo rozmawia po angielsku. Ma pudelka miniaturkę, ruchliwą suczkę, też emigrantkę z Baranowicz, którą mój Webster wyraźnie adoruje. Czuje się przy niej wielki. Sąsiadka Rosjanka trzyma nas jednak na dystans. Tym razem, korzystając z tego, że jest wieczór i nikogo nie ma, rozmawia swobodnie po

rosyjsku przez komórkowy telefon. Jej suczka w kaftaniku i ciepłych butkach (odwykła widać od srogiej rosyjskiej zimy) puściła się pędem w stronę Webstera, jednak czujna sąsiadka ostrym okrzykiem osadziła ją w miejscu:

– Suzi! *Pajdi siuda!*

No proszę. Z psem rozmawia po rosyjsku?, pomyślałem z przekąsem. Przypomniał mi się artykuł w tutejszym „Związkowcu”, który przedstawił mnie jako znanego psiarza dzielącego swój czas między Polskę a Kanadę. Nie sądziłem, że drobny błąd przestawienia liter zmieni pisarza w psiarza. W moim wypadku jednak to prawda. Prasa nie kłamie. Jestem znanym psiarzem. Każdy w moim bloku może to potwierdzić. Sąsiadka z Baranowicz też.

Baranowicze... Znów mnie dopadły. Zauważyłem, że kiedy nad czymś pracuję, to realia same wchodzą mi w ręce. Może to przypadek, a może ów stan skupienia na jednym celu – tak jak Webster skupia się na wachaniu – sprawia, że tak się dzieje. Dawniej bym tego nie zauważył, a teraz chciwie łowię każdy okruch związany z Kresami. I wszystko mi się z nimi kojarzy.

Przy St. Michael’s College mijają mnie sąsiad Rosjanin – tym razem z dużym psem rasy collie. Webster nie lubi większych od siebie, czuje się przy nich mały i szczeka zajadle. Trzymamy się więc na dystans, wymieniając tylko grzecznościowe „Haj!”.

I wtedy właśnie, kiedy te dwie postacie Rosjan, w tym jedna z Kresów, stanęły na mojej drodze w sercu Toronto, stwierdziłem, że gdy ja na próżno głowię się nad rozpoczęciem książki, samo życie pcha mi się w łapy jak *Webster’s Dictionary* w pysk mego psa! *O psiarzu nieszczęsny*, pomyślałem. *Źle z tobą. Nie na darmo cię tak nazwano.*

I już w windzie, patrząc na pracowicie splecione pasma warkoczy znajomej Afroamerykanki, widziałem to pierwsze opowiadanie. Była to ucieczka przez granicę carskiego oficera – młodego sokoła Kozaków dońskich – Fiodora Ławrowa. Dotąd stał dzielnie na straży imperium. Znieważony przez dowódcę, pułkownika Sołoguba, osławionego grafa Knuta, jak go nazywano ze względu na sadystyczne upodobania, w obronie swego honoru, w nagłym odruchu buntu ciął go szablą. Wiedząc, co go za to czeka, zbiegł na austriacką stronę. Jego brawurowy skok na koniu Rusłanie przez skutny lodem Zbrucz opisałem w *Nawiało nam burzę*.

JEŹDZIEC APOKALIPSY

– Ku wojnie idzie, panie hrabio. Prochem czuć...

– Prochem to może z mojej kapiszonówki. A z kim ta wojna według Ambrożego ma być?

– Z Rosyją. Wiadomo. – Ambrożę z szacunkiem ułożył strzelbę na tyłach dwukółki.

– I ma na tę wojnę dowody?

– Niezbite. Nosem czuję – odparł chełpliwie.

– W nos wierzę. Taka trąba i za Zbrucz sięgnie.

Nos Ambrożego ze względu na swój rozmiar i kolor był częstym przedmiotem żartów hrabiego. Odbity od płowych wąsów, sterczał jak głaz narzutowy w polu, jeszcze bardziej gąbczasty i granitowy.

– Pójdziemy za Zbrucz prać Moskala! Hej, wio! – krzyknął Ambrożę i ruszyli stromym duktem.

Hrabia Cielecki lubił tego pyskatego stangreta, który – choć szarak – nosił się z pańska. Łgarz i blagier z niego był przedni. Z dumą twierdził, że jest z braci szlachty, a takich Kazareckich jak on w jego rodzinnej Kazarówce jest cały zaścianek. Gdy hrabia jednak próbował dociec, gdzie owa Kazarówka jest, to raz się okazywało, że leży w pińskich błotach, a drugi raz – że pod rumuńską granicą nad brzegami Czeremosza. Hrabia w końcu przestał dochodzić prawdy, biorąc to szlachectwo Ambrożego za dobrą monetę. W przyływie humoru zwracał się do niego: „Imć Kazarecki z Kazarówki, miły panie bracie, herbu Głaz”.

Ambroży ten „głaz” dworujący z nosa taktownie zmilczał, zadzierając ów nos wyżej z powodu „miłego pana brata”. Dyspozycje zaś zawsze wydawał w liczbie mnogiej: „Spiesz się nam, więc się zwijaj!”. A gdy fernal się ociągał, beształ go ostro: „Ruszaj się, chamie, bo zaraz inaczej z tobą pogadamy, hultaju!”.

„Hultaj” był ulubionym zwrotem hrabiego Cieleckiego. Nim karciał służbę i Ambroży, powtarzając go, czuł, jak odhultaja się od reszty hultajstwa. Fornale przyjmowali to z pokorą. Wiadomo – chłop jeździ z hrabią na jednym wozie. Język ma kiej bicz. Chłaśnie i już łątka zostanie. Nie wyzwoli się z niej człowiek, jak z pańszczyzny. Czapkowali więc mu bardziej niż hrabiemu. Ambroży wtedy topniał jak wosk i stawał się do rany przyłoż.

– Więc mówi, że ku wojnie idzie? – powtórzył hrabia z ziewnięciem.

Ta włóczęga po Miodoborach nieco go zmęczyła. Lubił snuć się po tych uroczyskach, trochę postrzelać, trochę poszukać pamiątek. Hrabia lubował się w historii tej ziemi i z pasją zgłębiał jej tajemnice. Nie rozstawał się ze swoją łopatką i co zoczył jakiś kurhanek – już kazał ludziom w nim kopać. Te swoje archeologiczne eskapady nazywał wyprawami po złote runo. Niedawno odkopał misę monet rzymskich przy Wale Trajana. Wszystkie te starożytne skarby trzymał w specjalnych gablotkach, posegregowane, planując w przyszłości urządzić u siebie muzeum tej ziemi.

Tu, pod Sidorowem, często wędrował, korzystając z *carte blanche* od sąsiadów – hrabiów Bielskich, którzy znając jego zbieracką pasję, pozwalali mu grzebać w swoich rozległych dobrach. Bielscy dziwili się jeno, że hrabiemu mało własnych ziem, które przy najlepszej chęci trudno spenetrować.

Hrabia jednak miał w tym swój cel. Wspinając się na ten święty słowiański szczyt, zwany Bohutom, wiedział, że takiego widoku jak z Kruhłej Gorki na całym ciepłym Podolu nie znajdzie. Intrygował go też czworobok otoczony wałem, który ze szczytu góry rysował się jasno. Wieść gminna niosła, że to pradawny ołtarz ofiarny, jeszcze z ery pogańskiej. Hrabia dawno chciał go zgłębić, ale funkcja starosty husiatyńskiego nie sprzyjała tym planom. Służba *pro publico bono* pochłaniała moc czasu.

– Gdyby doszło do wojny – dumiał – to wszystko na nic. Inni po mnie będą grzebać w moim pałacu. Kamień na kamieniu z niego nie zostanie.

Znając krwawe dzieje tego przedmurza, był zaciekłym wrogiem wszelkich powstań i narodowych zrywów.

– Nic prócz daremnej ofiary krwi nie niosą – twierdził. – A dziś, choć pod austriackim butem, w naszej Galicyi spokój. Cesarz na wiele pozwala. Gdyby zaś wojna? Hultajstwo z miejsca podniesie łeb i pohula sobie nie gorzej niż zbuntowana czerń Chmielnickiego, kiedy to, korzystając z klęski hetmana Kalinowskiego pod Korsuniem, tak splądrowała moje dobra, że Turczyn z Tatarzynem mało mieli do roboty.

Spojrzał na ruiny zamku w Sidorowie.

Wszystko obróci się w perzynę. W jeden wielki Sidorów i Wał Trajana. Nowe wykopalisko, sarkał w duchu.

– I jakie to znaki wojny widzi prócz własnego nosa? Niech mówi. I dubów smalonych nie plecie – wrócił do rozmowy.

– A takie, panie hrabio – rzekł godnie Ambroży – że kiedy wyjeżdżaliśmy na tę wyprawę, przybiegł do mnie z koszar znajomek mój, Zdenek Furmanek z Ołomuńca...

– I co ten Czech, do diaska? – ponaglił go hrabia.

– Ten Czech jest gefrajtrem huzarów i miał jak raz wachę na granicy. „Siedzę ja sobie na odwachu w budce”, mówił, „a tu upiór jakowys gna na mnie od ruskiej strony. Czarny jak noc, a koń pod nim jeszcze czarniejszy, jak smok w tym krwawym słońcu zda się”. Zdenek w strachu, że jeźdźca Apokalipsy zoczył lub czarta jakiegoś, przeżegnał się krzyżem po trzykroć, choć luter, nie katolik, psia wiara. Nic to nie dało, bo jeździec dalej gnał na niego. Wreszcie dopadł go i jednym skokiem szlaban przesadził. Z tyłu dopiero Zdenek stwierdził, że to nie upiór żaden, ale Moskał na koniu wielkiej postury, który w tym słońcu olbrzymem mu się zdał. Ochłonawszy, zaczął za nim wołać z kolegą: „Halt! Halt!”, a ten po chwili konia wstrzymał i w ręce im się oddał.

– To jaka tu wojna, skoro strzał żaden nie padł?

– Rzecz w tym, panie hrabio, że to nie czubaryk żaden, ciemna kozacka dusza, ale oficyjer! W pełnym rynsztunku bojowym. Wysztafirowany jak na paradę. A koń pod nim taki, że choć Zdenek Furmanek spec od koni i po cichu je nawet szwarcuje za kordon, w życiu takiego nie widział.

– To jeszcze nie znak. – Hrabia wzruszył ramionami.

– A dla mnie znak, ośmielę się zauważyć.

– Jaki?

– Po pierwsze, nowy wiek się zbliża...

– To co?

– Pod koniec wieku zawsze Apokalipsą grozi...

– E tam.

– Po drugie zaś, jak takie grackie oficyjery knuta carskiego nie wytrzymują i na naszą stronę wieją, to znak, że koniec

samodzierzawia. W armii bunt i Rosyja *kaput. Kaput!*

Ambroży mocniej podciął konia i dla podkreślenia swej racji kiwnął ze znanostwem wielkim, granitowym nosem. Ruszyli szparko Żłotym Jarem...

– Tym „grackim oficyjerm” był właśnie mój prapraprapradziad. Dokładnie – powiedział Leszek Wawrów i podniósł słuchawkę. – *Ontario Bread Company speaking* – zaczął i przeszedł na polski. – To ile pan chce? Chleb mamy po dolar sześćdziesiąt dziewięć. To proszę przyjeżdżać. Adres pan zna. 178 Ossington Avenue, *at the rear. Yes.* W podwórzu. *Exactly.* Nasza piekarnia jest między Dundas West a Queen Street. *Okay. To bye, bye. See you!*

Leszka Wawrowa poznałem w redakcji „Związkowca” w 1993 roku. W *Kładce przez Atlantyk* na stronie 178 (teraz widzę zbieżność z numerem piekarni)¹ pisałem: „Stanisław Bugajski z bratem i wspólnikami prowadził znaną piekarnię, która w 1993 roku pod innym kierownictwem i zmienioną nazwą Ontario Bread Company Limited obchodzi swoje sześćdziesięciolecie. Obecny właściciel Leszek Wawrów (historyk z wykształcenia, ale ten zawód chleba mu nie dawał), który teraz zarządza piekarnią wraz z bratem Jarosławem, przyniósł na to konto do redakcji «Związkowca» kilkanaście bochenków mazowieckiego i firmowych chałek w darze jubileuszowym. I mnie się taka chała dostała na moje sześćdziesięciolecie. Bo jestem rówieśnikiem tej piekarni”.

Bohater *Kładki przez Atlantyk*, Tadeusz Gonsik, po przyjeździe do Kanady w 1949 roku zamieszkał w domu piekarza Bugajskiego, który rozwoził wtedy swoje pieczywo wozem konnym. Zdjęcie tego

konnego wehikułu zamieściłem w książce. A teraz znów do mnie wraca. Wisi w „ofisie”² obok dyplomów i fotografii pierwszego zarządu braci Bugajskich oraz obecnych współwłaścicieli piekarni – Leszka i Jarosława Wawrowych – praprapraprawnuków Fiodora Ławrowa, którego desperacki skok przez Zbrucz rozpoczął *Nawiało nam burzę*. I jest to teraz jedyny koń w tej całkowicie zmechanizowanej, nowoczesnej piekarni.

¹ Dotyczy pierwszego wydania: Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995.

² ofisie – (od ang. *office*) biurze

AZJA NADCHODZI

Przypadek sprawił, iż jednym z laureatów Nagrody Fundacji Turzańskich w 1996 roku został Roman Aftanazy, autor pomnikowej pracy *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*. Ja też tę nagrodę dostałem, uznałem więc to za znak (węsząc nosem jak Webster), że w tym zaiste benedyktyńskim dziele znajdę coś dla siebie. I rzeczywiście. W siódmym tomie, obejmującym województwo ruskie, ziemię halicką i lwowską, natrafiłem na dokładny opis dworu w Hadyńkowcach i na historię rodu Cieleckich. Jest też fotografia pałacu z czasów jego największej świetności, przed spaleniem przez Rosjan w 1915 roku. Po 1920 Artur Cielecki odbudował dwór w kształcie znacznie skromniejszym, bez pierwszego piętra, skrócony o jedną oś od strony wschodniej.

Pałac i oficynę, jak pisze Aftanazy, otaczał dziesięciohektarowy park krajobrazowy z owalnym gazonem pośrodku. Stary drzewostan stanowiły strzeliste świerki, płaczące jesiony oraz bardzo rzadkie w tych stronach buki i platany. Od bramy poprzez dworskie pola wiodła do lasu sędziwa aleja lipowa długa na około półtora kilometra. Na jednej z lip umieszczony był obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Fotografie tej alei z 1914 roku umieszczono w książce Aftanazego. Przyglądam się jej uważniej. Aleja i święty obraz pełniły ważną funkcję we wsi. Przede wszystkim zaś sam dwór Cieleckich, który od lat był centrum polonizacyjnym. Przyznają to ukraińskie źródła. O Hadyńkowcach i Cieleckich dużo jest w dwudziestym szóstym

tomie ukraińskiego zbioru *Istoriczno-memuarnij zbirnik czortkiwskoj okruzi*, ważnym dziele wydanym na emigracji w Toronto. Ciekawe jest to spojrzenie na nas z drugiej strony.

Obydwie prace zgodnie twierdzą, że ród Cieleckich herbu Zaremba pojawił się na Podolu dawno. Przybył z kaliskiego na początku osiemnastego wieku, a może wcześniej. Według Aftanazego pierwszym znanym na Podolu Cieleckim był Józef, a następnie jego syn Stanisław (1798–1855), rotmistrz kawalerii narodowej i starosta borszczowski, członek Stanów Galicyjskich. Nie mógł on wypuścić z aresztu Ławrowa i wziąć go do siebie na służbę, wieść ustna rodziny Wawrowych wyraźnie bowiem głosi, że zrobił to starosta husiatyński pod koniec osiemnastego wieku – Stanisław miałby wtedy dwa lata. Dlatego zdecydowałem się na jego ojca, Józefa Cieleckiego, nie mając pewności, czy był starostą husiatyńskim. W końcu nie to jest istotne. Ważne, że hrabia Cielecki wtedy żył, może inny, niż go opisałem, ale na pewno wpływowy, wielki pan. Posiadał olbrzymie dobra ciągnące się od Hadyńkowiec w kopyczyńskim, przez Oryszkowce, Majdan, Skorodyńce, aż po Byczkowce w czortkowskim. Porchowa pod Buczaczem też do niego należała. I to są fakty, na których można się oprzeć.

Nad bogato rzeźbionymi dębowymi drzwiami wiodącymi do hallu widniał napis: *Vita recta optima*³. Portal z dwiema parami kolumn zwieńczała attykowa ścianka, a na niej połączone herbowe tarcze: Zaremba Cieleckich i Łodzia Bnińskich. Po 1850 roku kolejny Cielecki ożenił się z Anną Bnińską i rozpoczął się okres największej świetności pałacu. Skoligaceni od lat ze starymi rodami Mycielskich, Siemieńskich i Tyszkiewiczów, Cieleccy zgromadzili w swym pałacu bezcenne skarby sztuki. Obrazy, meble, dywany „buchara”, wielki

księgozbiór. Najcenniejszym ponoć meblem była tak zwana numizmatyka – wysoka, mahoniowa szafka ze zbiorów carskich. W dwóch szufladkach z czarnej gruszy, w kwadratowych przegródkach znajdowała się kolekcja monet, w tym również rzymskich, i medali polskich.

Gdy pisałem o pasji zbierackiej Józefa Cieleckiego pod Wałem Trajana, pojęcia nie miałem o zebranej przez Aftanazego dokumentacji. Co prawda kolekcję przechowywaną w gablotach gromadził nie Cielecki, ale Lucjan Siemieński, pradziad ostatniego właściciela Hadyńkowiec – niemniej była.

Nie umiem sobie wyjaśnić tej mojej intuicji. Józef Cielecki nie był pierwszym hrabią, o którym pisałem. Zacząłem w 1965 roku od fikcyjnego hrabiego Zygmunta Dembopolskiego w *Derbach w pałacu*. Jego rodzinny Dembowiec, zmieniony w Państwową Stadninę Koni, też wymyśliłem. Kamerdyner Józef, jedyny świadek przeszłości tego pałacu, wypowiadał w sztuce następującą kwestię:

– Nigdy nie zapomnę ostatniej nocy. Front był tuż tuż, działa grały za lasem, jaśnie pan już w szubie, zakutany po uszy, bo mróz wtedy ściał straszny, wyszedł ze mną przed pałac. Zaczęliśmy iść... Na każdym rogu pałacu przystawaliśmy chwilkę, jak nakazuje obyczaj. Na koniec, pamiętam, jaśnie pan zapytał: „Józefie, czy ja tu jeszcze wrócę?”. „Wróci najjaśniejszy pan”, odparłem. „Przecież Bóg jest nad nami”. A on wtedy pokiwał smutno głową, wyciągnął rękę na wschód, skąd grzmiało, i rzekł: „Nie wrócę, Józefie. To już koniec. Azja nadchodzi”. I rzeczywiście. Nie wrócił. A mnie upaństwowiono wraz z pałacem.

Do dziś nie wiem, jak tę kwestię przepuściła cenzura. Publiczność też nie wiedziała i szalała z radości tą spontaniczną, antyrządową

reakcją, niechcący donosząc na mnie. Ale nie w tym rzecz. Dużo bardziej dziwi mnie fakt, że mojemu wyrzuconemu z pałacu hrabiemu Dembopolskiemu kazałem zamieszkać w Toronto. Pamiętam, jak błądziłem palcem po mapie Kanady, w której nigdy nie byłem, wahając się między paroma miastami. Najpierw chciałem dać Winnipeg, ale w końcu dzięki dźwięczniejszej nazwie zwyciężyło Toronto. A w dwadzieścia lat później, w 1985 roku, właśnie w tym Toronto wylądowałem. I tak jak mój hrabia w *Derbach w pałacu* poznałem los emigranta.

Można rzec – przypadek. Jeśli tak, to dość dziwny. W każdym razie teraz w Toronto wodzę palcem po mapie byłego województwa tarnopolskiego i zbieram okruchy, które zostały mi po *Nawiało nam burzę*. Co więcej, twierdzę, że to nie przypadek. A jeżeli nawet, to nieprzypadkowy.

Nie mogę się powstrzymać, by nie opisać praprapraprababki braci Wawrowych, klucznicy we dworze hrabiego Cieleckiego, z którą „gracki oficyjer z Rosyi”, ów niezwykły jeździec Apokalipsy Fiodor Ławrow, był się ożenił. Zarówno jej imię, jak i życiorys oraz panięńskie nazwisko zmyśliłem. Niestety, nie prowadziła notatek. Gdyby je prowadziła – obyłoby się bez intuicji. I tak zwanego nosa. Ambrożego czy Webstera...

BIAŁA RÓŻA

Już będąc w areszcie, Ławrow wzbudził ciekawość na dworze w Hadyńkowcach. Głównie za sprawą stangreta Ambrożego, który swą opowieść o tajemniczym jeźdźcu Apokalipsy powtórzył nie tylko hrabiemu, ale też ochmistrzowi, kucharkom i kredensowemu, lokajowi Alfredowi, przede wszystkim zaś młodziutkiej klucznicy Róży z grubym jasnym warkoczem i szarymi oczami, do której od dawna smalił cholewki. Róża jednak nie zauważała tych jego amorów, traktowała go jako pociesznego gadułę, co mocno urażało męską ambicję Ambrożego. Czuł swym wytrawnym, granitowym nosem, że nawet on, Kazarecki z Kazarówki, miły brat jaśnie pana, jadący z nim na jednym wozie, będzie miał niejake kłopoty ze znalezieniem klucza do serca tej klucznicy. Ale walczył dalej, roztaczając swój męski czar jak paw ogon w tutejszym parku. A miał o co walczyć.

Róża była bowiem krewną hrabiny Cieleckiej, panną posażną, która prócz urody wносиła wiano. Ambroży wiedział, że hrabia w jednej sukni jej nie puści. Gra warta była świeczki. Nie na darmo stangret trwał jak głaz w swym kawalerskim stanie, pyszniąc się: „Ambroży nie włoży obroży! Nie dam się okiełznać. To dobre dla mego konia, nie dla mnie!”, by teraz wziąć byle dworską dziewczkę. Mierzył wyżej swym granitowym nosem...

Róża sprowadzona została spod Krakowa na usilną prośbę hrabiny Anny. Ojciec dziewczyny, Cezariusz Rostkowski, pułkownik

pod Naczelnikiem Kościuszką, własnym sumptem utworzył oddział kosynierów ze swych poddanych. Padł chwalebnie w bitwie pod Szczekocinami, wzięwszy wprzód harmatę na wrogu. Młoda wdowa została z czworgiem dzieci, z których najstarsza – Róża – miała ledwie dwanaście lat. Na domiar złego biedna wdowa straciła nie tylko męża, ale i jego majątek. Większość dóbr leżała bowiem w zaborze rosyjskim i rząd carski w odwecie za wybitną rolę Rostkowskiego w Insurekcji Kościuszki skonfiskował mu majątek. Ostała się jeno nędzna resztówka w Galicji, po austriackiej stronie. Zrozpaczona wdowa napisała dramatyczny list do hrabiny Cieleckiej, apelując do serca kochanej cioteczki, matki chrzestnej Róży, by zlitowała się nad biedną sierotą i wzięła ją do siebie na wychowanie. „Byłabym wtedy spokojna – pisała – że moja Różyczka pod doświadczonym i serdecznym okiem drogiej Cioteczki nie schłopieje mi na amen w tej naszej galicyjskiej przysłowiowej biedzie”.

Hrabina Anna bardzo się tym listem przejęła i męczyła męża, zdeklarowanego wroga wszelkich konfederacji i powstań, by wziął pannę na wychowanie, na co on nie bez satysfakcji odpowiadał:

– Zachciało się chłopu iść z kosą na wroga, to ma, księżycowy Jasio. Za jedną harmatę, którą mu Moskał wnet odbił, oddał życie, trzy dwory, tysiąc hektarów ziemi i osierocił pięć osób. Gdzież tu rachunek, duszko? Kalkulacja? Trza wprzód pomyśleć. Ginać w polu jak zając każdy kiej potrafi! – zrzędził w kółko.

– Nie każdy jest takim statystą jak ty, mężusiu – próbowała mu schlebić hrabina. – Rostkowski zginął, Bóg z nim! Ale są przecież dziatki! Drobne dziatki! Jakże się nad nimi nie ulitować? Toć trzeba być bez serca!

Hrabia w końcu ustąpił, machnął ręką.

– Twoja rodzina! Bogać tam! Rób, jak chcesz.

I wolant z Ambrożym ruszył pod Kraków.

W ten sposób dwunastoletnia Róża znalazła się w Hadyńkowcach. Z czasem została klucznicą. Funkcja w jej wypadku zgoła tytułarna. Oboje hrabiostwo traktowali ją bowiem jak własne dziecko. Róża zwracała się do hrabiego: „wujciu Józiu”, a do hrabiny: „mameczko Aniu”, co bardzo hrabinę rozczulało, zważywszy na fakt, że miała wnuki w wieku Róży. Posłano ją na naukę do sióstr szarytek w Czortkowie. Przesła kurs dla dobrze urodzonych pańienek. Haftowała i tańczyła, równie biegła w klawikordzie, jak we francuskim – była ozdobą salonów. Nadto wcale nie zadzierała swego kształtnego noska, co zwracało uwagę zwłaszcza przy Ambrożym. Gdy on nadymał swą wielką różową trąbę – Róża skromniutko marszczyła swój maleńki nosecek.

Ten dziecięcy czar zjednał jej serca. Nazwano ją naszą białą Rózią ze względu na gruby blond warkocz i jasną, mleczną cerę. Nic dziwnego, że gdy skończyła szesnaście lat i z pączka zmieniła się w kwiatek – rój kawalerów ciągnął do niej jak bąki do ula. Co śmielsi zgłaszali swój akces do jej ręki, na co ona odpowiadała ze śmiechem:

– Wujaszek sam zdecyduje. Jam jemu powolna, panowie. – Tak studziła niewczesne kawalerskie zapęły.

Wiedzieli, że hrabia Józef de Zaremba Cielecki za byle łyka jej nie wyda i że ta biała Róża warta jest więcej niż niejeden móg czarnoziemem...

Gdy Fiodor Ławrow przybył po raz pierwszy do pałacu w Hadyńkowcach w asyście Danyły Wynnyczenki, nawet nie przypuszczał, że ktoś mógł o nim słyszeć w tym starym, wytwornym dworze. Kołysząc się w nowym siodle, które sprokurował mu Danyło,

pełen obaw rozglądał się wokół. Wynnyczenko, jadąc za nim, pogwizdywał skocznie. Jego remontowa kobyła przy Rusłanie, koniu Fiodora, wyglądała jak stara żałobna wdowa.

Ze wszystkich okien pałacu i oficyny wyjrzały ciekawe oczy. Każdy chciał zobaczyć tego Moskala, strasznego jeźdźca Apokalipsy, co tak dziarsko przeskoczył Zbrucz. Pisk podkuchennej Melańci, która z emocji o mało nie wpadła do balii – „Łoooj! Ale wždy harny molojec!” – mówił sam za siebie...

Postawny Ławrow, w kozackiej barance chwacko nasadzonej na tył głowy, na swym kruczoczarnym ogierze zrobił wielkie wrażenie na całym fraucymerze, poczynając od podkuchennej Melańci, a kończąc na starej panie Gertrudzie, guwernantce niemieckiego.

Ale kiwający się w siodle Fiodor nie miał o tym zielonego pojęcia.

Żał mi trochę stangreta Ambrożego, który kroił mi się niemal na podolskiego Zagłobę. Szykowałem go na rywala Fiodora do ręki Białej Róży. Byłoby wiele zabawnych scen, jak imć Kazarecki z Kazarówki herbu „Głaz” swą granitową trąbą dobiera się do serca klucznicy, klnąc w żywy kamień Moskala, który w jej szarych oczach wzbudził gorętsze błyski. W końcu taki kontrast to samograj. Po namyśle jednak zrezygnowałem.

Fiodor Ławrow zmienił nazwisko na Wawrów i dał początek polskiej rodzinie Wawrowych. Jego potomkiem był Wincenty Wawrów, ojciec Jarosława i Leszka, obecnych właścicieli piekarni Ontario Bread Company w Toronto.

KONNE WYPADY Z CZORTKOWA

– Mój ojciec, Martyn Wynnyczenko, i jego starszy brat Iwan byli w 1920 roku w armii Petlury, który w sojuszu z Piłsudskim zamierzał iść na Rosję – powiedziała mi Olga Wawrów w swoim mieszkaniu na Indian Grove. – Formowani i szkoleni w Kamieńcu Podolskim czekali na znak do wspólnej ofensywy. Któregoś dnia nadszedł do teściowej mamci, Naści Wynnyczenko, list od stryja Iwanka. Stryjko prosił, by moja mamcia ich w Kamieńcu odwiedzili. Gdy mamcia tam przyjechała, przypadkowo stała się świadkiem tragicznego wypadku.

Stryjko Iwanko miał młodego ordynansa, Polaka z Hadyńkowic, ledwie siedemnastoletniego Józka Kuśnierza. Był on do stryjka bardzo przywiązany i za nim na ochotnika ruszył na tę wojnę. Pod nieobecność porucznika Wynnyczenki, który prowadził ćwiczenia z żołnierzami, robił porządki w swej walizce i czyścił broń. Pech chciał, że właśnie w tym pokoju siedziała jakaś starsza dama z dwiema wnuczkami, młodymi pannami, z których jedna przyjechała do swego narzeczonego. Józio, czyszcząc broń, sprawdzał, czy zabezpieczył pistolet, i tak pechowo z niego strzelił, że zabił na miejscu jedną z siedzących naprzeciw panien. Akurat do pokoju wpadł mój tato Martyn i widząc, co się stało, krzyknął:

– Ty, Józiu, uciekaj! Wojna! Nikt nie będzie sprawdzał, kto winny...

– Ja niechcący to zrobił, gdzie będę uciekał – odparł chłopak w szoku.

Martyn pobiegł do brata, by Józia ratował. Tymczasem nadbiegł narzeczony tej panny i widząc ją martwą na ziemi, w furii wywlókł biednego Józia na dziedziniec, postawił pod murem i z miejsca rozstrzelał. Gdy dotarli obaj bracia Wynnyczenko, chłopak już nie żył.

Ta historia takie na mamci zrobiła wrażenie, proszę pana, że zapamiętała imię i nazwisko tego chłopca, przekazała mnie i ja mogę panu dziś, po tylu latach, powiedzieć w Toronto, że ten chłopiec nazywał się Józio Kuśnierz. Polak, ordynans stryjka Iwanka w tej ukraińskiej armii.

Syn stryjka Iwanka, Bohdan Wynnyczenko, którego poznałem w 1998 roku w Toronto, dodał parę szczegółów do opowieści o konnych wyprawach Martyna Wynnyczenki do Hadyńkowiec, gdy ten rok wcześniej służył wraz z bratem w Czortkowie⁴.

– Mój ojciec – mówił Bohdan – przedstawił to tak:

– Wzywam Martyna i pytam: „Co ty mi tak znikasz? Wciąż nie ma cię w Czortkowie. Moi podwładni skarżą się na ciebie!”.

– Bo ja do Hadyńkowiec muszę, Iwanku – tłumaczył mu stryjek.

– Po co?

– Do naszych rodziców. Nie chciałem cię martwić, bracie, ale oni są w bardzo ciężkim stanie. Chorzy na tyfus. Prawie umierają. Ratuje ich, jak mogę. Zastrzyki codziennie robię...

– A, to rób, rób! Oczywiście. I ucałuj ich ode mnie.

– Ucałuję, Iwanku! Na pewno – zapewniał ojca stryjek.

Gdy wracał, mój tata znów go pytał:

– No jak, Martynku? Ucałowałaś rodziców ode mnie?

– Jasne, że ucałowałem, bracie. Obowiązkowo...
– A jak mama z tatą się czują?
– Źle, Iwanku. Bardzo źle. Walczą biedni o życie. Nie wiem, czy wyżyją...

– To ratuj ich, bracie, na miły Boh! Jedź! – I sam go wysłał do Hadyńkowiec.

Dopiero po wojnie się dowiedział, że Martynek tak ich ratował, że w końcu z Pawlinką Nawrocką się ożenił. A w Hadyńkowcach o tej wojaczce Martyna ludzie ułożyli wierszyk: „Gdyby nie Ukrainka, to by Pawlinką nie wyszła za Martynka!”.

– Bo walki w Zachodniej Halicji nazywano wtedy wojną o naszą małą Ukrainkę, w odróżnieniu od tej wielkiej, zadnieprzańskiej – wyjaśnił na końcu Bohdan Wynnyczenko.

4. Opowieści te zamieściłem w *Nawiało nam burzę*.

HENRYK JÓZEWSKI W TEATRZE WOJNY

Mój przyjaciel Janusz Wasylkowski, wielki znawca problematyki lwowskiej (to z jego kolekcji miałem przedwojenny przewodnik po województwie tarnopolskim), podrzucił mi miesięcznik „Karta” z materiałami o powstaniu w Czortkowie. W numerze tym natrafiłem na wspomnienia Henryka Józewskiego. O tym bliskim współpracowniku Piłsudskiego, wojewodzie wołyńskim i obrońcy ludności ukraińskiej na Kresach, słyszałem już dawno w Paryżu od Jerzego Giedroycia, który chciał do tych wspomnień dotrzeć. W końcu dotarł i opublikował je w „Zeszytach Historycznych”.

Józewski, o którym Maria Dąbrowska pisze, że tylko Piłsudski wywarł na niej podobne wrażenie jako polityk i człowiek, był postacią niezwykłą. Niezlomnych zasad moralnych, bezkompromisowy antykomunista, pół życia spędził w konspiracji. Podczas pierwszej wojny światowej na osobisty rozkaz Komendanta (tak do końca życia mówił o Piłsudskim) organizował dywersyjno-szpiegowską siatkę POW w Kijowie, na tyłach bolszewickiego frontu. Też w Kijowie po studiach malarskich debiutował jako scenograf w słynnym teatrze Stanisławy Wysockiej „Studia”, gdzie pierwsze kroki stawiał również Jarosław Iwaszkiewicz. Po odzyskaniu niepodległości Wincenty Drabik, przyjaciel Józewskiego z teatru Wysockiej, jeden z największych naszych scenografów, twórca monumentalnej oprawy plastycznej do *Nie-Boskiej komedii* Krasińskiego, zaproponował mu

stałą współpracę z Teatrem Polskim w Warszawie. Tę kuszącą ofertę Józewski z żalem odrzucił wobec nagłego skierowania go przez Belweder na prawdziwy teatr wojny. Komendant, zadowolony z jego misji na tyłach frontu w Kijowie, mianował go bowiem swoim reprezentantem w rządzie Ukraińskiej Narodowej Republiki atamana Petlury. W myśl zawartej umowy dwóch Polaków weszło w skład tego rządu: Józewski został wiceministrem spraw wewnętrznych, tekę ministra rolnictwa objął zaś Stanisław Stempowski, późniejszy długoletni towarzysz życia Marii Dąbrowskiej.

Obaj polscy ministrowie ruszyli pospiesznie do Kamieńca Podolskiego, gdzie w kwietniu 1920 roku przebywał już rząd Petlury, szykując się do rychłej ofensywy i formując pospiesznie armię. Ciekawe dane o niej podał Jarosław Syrnyk w „Przeglądzie Wschodnim”.

W myśl sojuszniczego układu podpisanego w Belwederze 22 kwietnia 1920 roku rząd Ukraińskiej Narodowej Republiki zrzekł się ziem na zachód od rzeki Zbrucz za cenę uznania przez Polskę państwa ukraińskiego. Na mocy tego układu oprócz już działającej 6. Dywizji generała Marka Bezruczki utworzono 2. Dywizję Ołeksandra Udowyczenki (w sumie 556 oficerów, 3384 kozaków, 14 armat). Poza tymi dwiema dywizjami w skład armii UNR wchodziły jeszcze oddziały generała Omelanowycza-Pawlenki (1397 oficerów i 5950 kozaków). Zgodnie z 7. paragrafem układu naczelne dowództwo Wojska Polskiego zobowiązało się udzielić pomocy armii ukraińskiej w postaci ekwipunku i zaopatrzenia. W Kamieńcu Podolskim przy tej tworzącej się armii przebywał już minister Henryk Józewski.

Los zetknął z Józewskim w jakimś sensie i mnie. Większość sztuk wystawiałem bowiem w Teatrze Polskim w Warszawie, w którym

Józewski miał pracować jako scenograf. Kiedy tam pierwszy raz przyszedłem, jego przyjaciel Wincenty Drabik już nie żył (umarł w 1933 roku – w roku mego urodzenia), ale została żywa pamięć o nim. Starzy teatralni fachowcy pamiętali mistrza Drabika. Projekty jego dekoracji wisiały na ścianie w gabinecie dyrektora. Często na nie patrzyłem. Między innymi na słynne Okopy Świętej Trójcy z *Nie-Boskiej komedii* Krasińskiego.

To wszystko sprawiło, że wspomnienia Józewskiego stały mi się bliższe, a jego wybór – rezygnacja z własnej kariery artystycznej na rzecz służby publicznej – bardziej dramatyczny. Trudno więc, bym z tych pamiątek nie skorzystał. Tym bardziej że świetnie oddają ten niezwykły okres. Józewski pisał:

„Urzędowaliśmy, czekając na posuwanie się frontu, by za nim podążyć. Poza pracą w ministerstwie byłem zaabsorbowany tym wszystkim, co się działo pomiędzy Ukrainą a Polską. Występowałem jako strona ukraińska. Byłem jednak Polakiem, wiedzieli o tym Polacy i wiedzieli Ukraińcy, to nadawało charakter powstałej instytucji. Wywiązanie się w takich warunkach ze spadających na mnie obowiązków nie mieściło się w schemacie normalnego i ogólnie przyjętego urzędowania.

Od czasu do czasu robiliśmy wycieczki na Okopy Świętej Trójcy – miejsce o jakimś niezwykłym uroku. Zresztą sam Kamieniec robił wrażenie zaczarowanego miasta wśród rozkołysanej, uśmiechniętej przyrody. Kolistą dolina, otoczona falującą, pagórkowatą okolicą. Pośrodku doliny wyrasta pionowo, z małymi tylko odchyleniami, masyw skalny. Właśnie na owym bloku znalazło sobie miejsce miasto otoczone murami – klasztory, kościoły, domy mieszkalne. Miasto polskie, jak Kraków. U jego stóp srebrny pierścień Smotrycza. Miasto

łączy ze światem wielki, masywny most turecki, zakończony zamkiem zbudowanym na drugim brzegu Smotrycza – tam zginęli Wołodyjowski i Ketling...

Po pewnym czasie udałem się z polecenia atamana Petlury do Kijowa. Miałem w imieniu rządu UNR przejąć władzę z rąk generała Rydza Śmigłego i mianować ukraińskiego komisarza Kijowa. Sytuacja była oryginalna, a nawet w pewnym sensie niesamowita. Znany polskiemu społeczeństwu Henryk Józewski, Kijowianin z urodzenia, działacz społeczny, prezes «Filarecji», muzyk i współtwórca teatru «Studia» – zjawia się w Kijowie jako minister ukraiński i powołuje ukraińską administrację...

Największe wrażenie robiły na mnie polskie mundury ukazujące się tu i ówdzie w ulicznym tłumie. Powszechny nastrój był ożywiony i wesoły. Kijowianki tańczyły z polskimi żołnierzami na skwerach i placykach. Tego Kijów jeszcze nie widział, pomimo że niejedna armia przez to miasto przemaszerowała. Nawet żołnierze ukraińscy nie mieli takiego powodzenia. Nie trwało to długo. Front cofał się...”.

Mało dziś wiemy o bogatych i starych tradycjach polskich w Kijowie przed rewolucją październikową. Stanisław Sławomir Nicieja w pracy *Polski Kijów i jego zagłada* w „Przeglądzie Wschodnim” dostarcza fascynujących informacji. Przed wybuchem wojny Kijów liczył 600 tysięcy mieszkańców, w tym 60 tysięcy Polaków. Ośrodkiem polskości był Kościół Świętego Aleksandra ufundowany w połowie dziewiętnastego wieku przez Poniatowskich, położony w centrum miasta. Sławę zdobyła księgarnia wydawnicza Władysława Idzikowskiego na Kreszczatiku, niezwykle zasłużona w krzewieniu kultury polskiej. Specjalizowała się w druku partytur

muzycznych naszych największych kompozytorów. W Kijowie działało też Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Patagonia”.

„Kijów był w imperium rosyjskim – pisze Nicieja – miastem, które mogło w latach 1905–1917 poszczycić się największą ilością czasopism polskich. Tam powstał dzięki Włodzimierzowi Grocholskiemu «Dziennik Kijowski», trafiający regularnie przez dwanaście lat do wszystkich polskich skupisk na Ukrainie, mający znakomity serwis informacyjny i korespondentów we wszystkich miastach polskich i stolicach europejskich”.

Oprócz niego wychodził „Świt”, w którym pisali Stanisław Brzozowski i Janusz Korczak, a z Ukraińców Iwan Franko i Wołodymyr Wynnyczenko, przyszły premier Republiki Ukrainiejskiej. W literackich „Kłosach” publikowali swe wiersze Leopold Staff i Kazimiera Iłakowiczówna. Były jeszcze „Kresy”, „Goniec Kijowski” i wiele innych.

O znakomitym teatrze polskim „Studya” Stanisławy Wysockiej wspomniał już Józewski. Nicieja dodaje, że w czasie wojny ściągnęła tam czołówka polskich aktorów. Na deskach tego teatru triumfy święcili: Stefan Jaracz, Bolesław Bolesławski, Juliusz Osterwa, Janusz Strachocki, Stanisław Daczyński. Tych trzech ostatnich miałem szczęście sam po wojnie podziwiać na scenie.

„Scenografię wykonywał słynny Wincenty Drabik, a kierownikami literackimi byli Kornel Makuszyński i Władysław Gunther” – pisze Nicieja i cytuje wrażenia Tadeusza Zabłockiego: „Zostało mi w pamięci z czasów mego sztubactwa niezwykle przedstawienie *Fircyka w zalotach*. Nie dlatego, że autorem sztuki był daleki mój antenat, ale ze względu na wielki koncert aktorski Osterwy w roli Fircyka i Jaracza w roli Pustaka – hardego sługi”.

Można sobie wyobrazić. Warszawa już takiego koncertu nie miała szczęścia oglądać.

Bujnie rozwijało się w Kijowie szkolnictwo. Były dwa gimnazja męskie i jedno żeńskie z 857 uczennicami. W tym słynnym gimnazjum Waławy Peretjatkowiczowej otwarto w 1917 roku Wyższe Polskie Kursy Naukowe, na których wykładali najwięksi polscy profesorowie. Podczas wojny liczba Polaków w Kijowie wzrosła do 100 tysięcy. W tym kwitnącym mieście wielu Polaków porobiło zawrotne kariery. Jednym z nich był Franciszek Gołąbek, który z małego cukiernika awansował na właściciela najmodniejszego w Kijowie hotelu François. Najelegantszy sklep jubilerski prowadził Polak Marszak, a inny Polak, Fruziński, serwował najlepsze dania w restauracji Staraja Ruś. Potem słodyczami Fruzińskiego zajadała się przedwojenna Warszawa.

Wśród wybitnych późniejszych polskich polityków – oprócz Józewskiego – podczas wojny żyli w Kijowie przyszli ministrowie Artur Śliwiński i Janusz Jędrzejewicz, a także Wojciech Świętosławski i Waław Grzybowski, nasz ostatni ambasador w Moskwie, który nie przyjął z rąk Mołotowa noty o wypowiedzeniu nam wojny w 1939 roku.

Liczne nasze ziemiaństwo wytworzyło na Ukrainie specyficzny typ ludzi. Nicieja przytacza ciekawą uwagę z eseju syna znanego ziemianina Ksawerego Glinki, który pisał, że gdy czytał powieść Margaret Mitchell *Przeminęło z wiatrem*, uderzyło go wielkie podobieństwo amerykańskiego Południa do jego rodzinnych stron – kijowskiego, humańskiego i Dzikich Pól. „Mieliśmy i my – pisał Glinka – takie typy Polek, które mogły posłużyć za wzór dla Scarlett, bohaterki *Przeminęło z wiatrem*. Tak, przeminęło z wiatrem. Kijów –

kwitnący, szczęśliwy, roześmiany, taki, jakim go znałem z lat mej młodości, przestał istnieć. Zginęli lub pomarli ludzie, ci wspaniali Polacy o twardych karkach i szerokim geście, którzy nadawali ton memu miastu. Sowiecki terror niby rozpalone żelazo wypalił nawet najmniejszy ślad polskości, kultury polskiej, polskiego życia. Nie pozostało nic z tego, co było spuścizną pracy licznych pokoleń”.

Swój szkic Nicieja kończy cytatem poufnego raportu naszego konsula generalnego w Charkowie Konstantego Zaremby-Skrzyńskiego, który meldował do centrali MSZ w 1925 roku: „Jeśli porównamy polski stan posiadania na Ukrainie z okresu przedwojennego z tymi nikłymi przejawami życia polskiego, jakie tlą się jeszcze gdzieś na obszarze dzisiejszej Ukrainy sowieckiej, wyda nam się, że stoimy przed zgliszczami olbrzymiego pożaru, który wniwecz obrócił wspaniałą dziejową budowlę...”.

W krytycznym momencie wojny w sierpniu 1920 roku Piłsudski powierzył Józewskiemu nowe zadanie: stworzenia konspiracji i objęcia dowództwa na wypadek zajęcia Warszawy przez bolszewików. Zaprzyjaźniony z Józewskim Stanisław Broniewski „Orsza” – podczas okupacji dowódca Szarych Szeregów, organizator słynnego zamachu pod Arsenalem – tak to opisuje:

„Bolszewicy zbliżali się. Wówczas przybył do Józewskiego zaufany człowiek Piłsudskiego z poleceniem stawienia się w Belwederze... Gdy Józewski tam przybył, przed wejściem do pałacu spostrzegł znane odkryte auto Piłsudskiego, gotowe do drogi. W holu na parterze pełno było ludzi, panował gwar i podniecenie. Widać było członków rządu i wojskowych. W pewnym momencie wezwany został na górę. Wszedł do małego pokoju, w którym nieraz przyjmował go Komendant (tak i tylko tak mówił o nim Józewski). Pokój teraz był

pusty. Nagle otworzyły się drzwi i wszedł Piłsudski. Była godzina czternasta dnia 12 sierpnia. Piłsudski wolno podszedł do zamarłego na środku pokoju Józewskiego. Patrząc mu w oczy, uściskał mu rękę, po czym po dłuższej chwili cofnął się i wyszedł. Nie padło ani jedno słowo...”.

Potem, jak wiadomo, nastąpiło słynne uderzenie Piłsudskiego znaną Wieprza i karta wojny się odwróciła. Bolszewicy uciekali w panice. W opałach znalazła się nawet słynna konarmia i sam Komandarm Budionny, który cudem wyrwał się z kotła polskiego wraz z towarzyszami: Klimentem Woroszyłowem i Siemionem Timoszenką, rozgromiony przez polskich ułanów generała Rómmla w bitwie pod Komarowem. Na tym południowym froncie funkcję komisarza politycznego pełnił Józef Stalin, który nie usłuchał rozkazu Tuchaczewskiego i z uporem parł na Lwów, chcąc go pierwszy zdobyć. Potem oskarżany był w Moskwie przez Lenina i Trockiego, że swą niesubordynacją przyczynił się do klęski Armii Czerwonej w „bitwie warszawskiej”.

Jak pisze we wspomnianym już szkicu Jarosław Syrnyk: „Bijąca się ramię przy ramieniu z armią polską armia ukraińska (obrona Zamościa przez oddziały Marka Bezruczki) stanęła w obliczu podpisania przez Polskę preliminarzów pokojowych w Rydze 12 października 1920 roku. Pomimo ciężkiej sytuacji na froncie Petlura zdecydował się kontynuować walkę. Dnia 14 sierpnia siły UNR liczyły około 7 tysięcy żołnierzy, jesienią zaś już około 40 tysięcy...

Dnia 20 listopada oddziały ukraińskie zostały przyparte do Zbrucza. Jak się okazało, stacjonujące w Ożykowcach jednostki polskie nie bardzo wiedziały, co w danej sytuacji robić. Zgoda na rozpoczęcie ewakuacji dotarła dopiero 21 listopada o godzinie

drugiej w nocy. Rozpoczęto ją w dwie godziny później i przebiegała sprawnie. Żołnierze ukraińscy zostali rozbrojeni we wsi Wołkowiec, broni jednak nie spisywano. Jako przyczynę rozbrajania podawano obawę o to, czy pojawienie się oddziałów ukraińskich nie rozpali na nowo polsko-ukraińskiego konfliktu w Galicji Wschodniej. Zdarzały się też przypadki, że niektórych oddziałów nie rozbrajano od razu. Wbrew nakazom MSW armii UNR odebrano konie...”.

Józewski tak opisuje koniec tej wojny: „Zaczęły się pertraktacje w Rydze i nadszedł dzień podpisania pokoju. Po pewnym czasie zostałem z panem Stanisławem Stempowskim wezwany przez ówczesnego ministra spraw zagranicznych Konstantego Skirmunta. Przyjął nas w sejmie, w gabinecie przylegającym do sali obrad, skąd dolatywał gwar. Minister zawiadomił nas:

– Jutro wyjeżdża do Tarnowa mieszana komisja polsko-bolszewicka dla skonstatowania miejsca pobytu atamana Petlury, który mocą traktatu ryskiego został pozbawiony prawa azylu...

Wiadomość ta spadła na mnie jak grom. Było mi dane poznać gorzki smak polityki i «konieczności» – nie mającej nic wspólnego z ludzką moralnością. Nie pamiętam, czy pożegnałem się z ministrem Skirmuntem. Nie miałem czasu do stracenia. Postanowiłem działać na własną rękę. Z dwoma peowiakami z KN III wybrałem się do Tarnowa. Kazałem im zabrać ze sobą broń. Zaproponowałem atamanowi natychmiastowy wyjazd do Warszawy. Zaufał mi bez wahania. Mojej eskorcie udało się zdobyć przedział dla naszej czwórki w zwyczajnym pociągu i tak dojechaliśmy do Warszawy. O szarzejącej godzinie wsiadłem z atamanem do taksówki i za chwilę byliśmy w pałacu Raczyńskich, w naszym mieszkaniu. Spotkał nas,

z czarującym jak zwykle uśmiechem, pan Stanisław Stempowski. Na atamana czekał przygotowany pokój”.

Przez parę miesięcy udało się Józewskiemu przechować Petlurę poszukiwanego jednocześnie przez polską dwójkę i bolszewicki wywiad. Ataman ukrywał się z żoną i córką Lesią w mieszkaniu jego serdecznego przyjaciela Włodzimierza Redlicha przy ulicy Pięknej. Nikt nie wiedział, co się z nim stało, ani Polacy, ani Ukraińcy. Józewski często rozmawiał z Petlurą. Twierdził, że ataman, mimo położenia, w jakim się znalazł, nie miał żalu do Piłsudskiego. Zawsze wyrażał się o nim z szacunkiem, uczuciem i przejęciem.

Czasem Petlurę odwiedzali jego zaufani łącznicy. Rząd sowiecki coraz głośniejsze domagał się od Polski wypełnienia traktatu ryskiego: wydania Petlury i internowania ukraińskich oficerów. Ataman przy pomocy przyjaciół Józewskiego został przetrzucony do Paryża, gdzie działał już rząd ukraiński na uchodźstwie. Tam zginął w 1926 roku trafiony na ulicy pięcioma kulami przez bolszewickiego agenta Szwarcbarta.

Jednostkowy czyn Józewskiego jaskrawo odbija od mało chlubnej karty naszego rządu i jego stosunku do byłego sojusznika po podpisaniu zwycięskiego traktatu w Rydze.

Oficerowie ukraińscy znaleźli się w obozach internowania w Szczypiornie i w Kaliszu. 15 maja 1921 roku obozy te odwiedził Józef Piłsudski. O jego wizycie tak pisał pułkownik Juliusz Ulrych: „Jestem wezwany do Belwederu i otrzymuję osobiste rozkazy od Komendanta:

– Pan ich formował i pan teraz ma dbać o nich. Obóz ma być ich schronieniem, domem – rozkazał.

O decyzji przyjazdu Komendanta powiadomiłem generała Bezruczkę. Nie chciał wierzyć i głęboko wzruszony powiedział:

– To bardzo po rycersku...

Byłem świadkiem wielu manifestacji na cześć Piłsudskiego. Lecz takiego morza entuzjazmu, takiego bezmiaru uczuć, takiego zbiorowego wzruszenia – nie widziałem. A cóż Piłsudski? Powiedział, pamiętam, tych kilka pamiętnych słów:

– Ja was przepraszam, panowie. Ja was za to bardzo przepraszam...”.

Te rycerskie słowa Piłsudskiego wypowiedziane do przegranych sojuszników po zwycięskiej „bitwie warszawskiej” przeszły do historii, tak jak słowa Winstona Churchilla skierowane do Polaków w dwadzieścia lat później po „bitwie o Anglię”. I z równym entuzjazmem i wdzięcznością zostały przez nich przyjęte.

Nas samych w ćwierć wieku potem dotknęły podobne „konieczności” polityczne, co Ukraińców w 1920 roku, i na próżno pomstowaliśmy przeciw zdradzie aliantów i decydowaniu ponad naszymi głowami o naszym losie. Ale warto i o tej własnej ryzykiej rysie pamiętać. Rzecz inna, że lekcja udzielona nam w Jałcie była wyjątkowo bolesna. W świetle Rygi zaś jeszcze boleśnieszka...

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Wstęp

Jeździec Apokalipsy

Azja nadchodzi

Biała róża

Konne wypadły z Czortkowa

Henryk Józewski w teatrze wojny